Zdeněk Jirotka

Saturnin

Przekład Leszek Engelking



Zdeněk Jirotka

Saturnin

———

Przetłumaczono z czeskiego oryginału *Saturnin*
z roku 2014, wydanie 24,
Šulc–Švarc i Karolinum
Przekład Leszek Engelking

Wydawnictwo Afera
Wrocław
www.wydawnictwoafera.pl

Uniwersytet Karola
Wydawnictwo Karolinum
Praga
www.karolinum.cz

Text © Zdeněk Jirotka – heirs, 2018
Translation and Epilogue © Leszek Engelking, 2018
Cover Illustration © Adolf Born, 2018
All rights reserved

ISBN 978-83-65707-22-2 (Afera)
ISBN 978-80-246-4193-5 (Karolinum)
ISBN 978-80-246-4207-9 (epub)
ISBN 978-80-246-4205-5 (pdf)
ISBN 978-80-246-4206-2 (mobi)

Wydawnictwo Afera 2018
www.wydawnictwoafera.pl

Charles University
Karolinum Press 2018
www.karolinum.cz
ebooks@karolinum.cz

I

Teoria doktora Vlacha
Zatrudniam służącego
Incydent ze złodziejem
Doktor Vlach wypowiada się o zdrowiu psychicznym i Pitagorasie

Wprawdzie nie lubię wszystkich tych porównań i przypowieści, którymi doktor Vlach przeplata swoje pełne temperamentu wypowiedzi, ale muszę przyznać, że jego pouczająca historyjka o kawiarni, człowieku i misie z pączkami nie jest pozbawiona sensu. W każdym razie, odwołując się do niej, można w przybliżeniu uzmysłowić sobie i innym, jaką osobą jest Saturnin.

Rzecz w tym, że doktor Vlach dzieli ludzi według tego, jak się zachowują w na wpół pustej kawiarni, kiedy mają przed sobą misę pełną pączków. Proszę sobie wyobrazić luksusowy lokal w niedzielę przed południem. Na dworze jest piękna pogoda, więc gości siedzi w kawiarni niewielu. Zjedliście już państwo obfite śniadanie, przeczytali wszystkie gazety i teraz, wygodnie rozparci w swoim boksie, przyglądacie się misie z pączkami. Nuda pomału wpełza we wszystkie kąty kawiarni.

W tym momencie powinno się okazać, do której grupy, zgodnie z teorią doktora Vlacha, dana osoba należy. Jeśli mamy do czynienia z człowiekiem pozbawionym fantazji, upodobania do dynamiki i bez poczucia humoru, będzie się on tępo i bezmyślnie gapić na pączki, może nawet aż do południa, potem zaś wstanie i pójdzie na obiad.

Żywię uprawnione podejrzenie, że do owej grupy zalicza doktor Vlach także i mnie. Myślę, że nie ma racji. O humorze ani tej całej dynamice nie będziemy tu dyskutować, ale odmawiać mi fantazji, wiedząc, że udało mi

się poprawnie wypełnić formularze oświadczenia podatkowego… doprawdy zadziwiające! O to jednak mniejsza. Nawet gdybym należał do osób tego typu, byłoby mi to milsze, niż zaliczać się do grupy drugiej. Jej przedstawiciele, spoglądając na pączki, mają podobno igrać z pytaniem, co by się stało, gdyby ktoś ni z tego, ni z owego, bez ostrzeżenia, zaczął innych gości kawiarni bombardować tymi ciastkami.

Nie pojmuję, jak dorosły, rozsądny człowiek może pomyśleć o czymś takim. Jednocześnie wszakże w pełni zgadzam się z sądem, że doktor Vlach, co sam zresztą przyznaje, należy do tej właśnie grupy. Z jakichś niezrozumiałych powodów jest z tego faktu dumny. Uważa ów rodzaj ludzi za duchowo dojrzalszy. Ja natomiast nie potrafię objąć umysłem, co z duchową dojrzałością ma wspólnego wizja pączków rozmaślających się na głowach spokojnych klientów kawiarni. Doprawdy, nie jestem w stanie tego zrozumieć. Ale dobrze, nie będziemy się o to spierać. Mam bowiem ustalony pogląd na debaty z doktorem Vlachem. Zawsze kiedy wchodziłem z nim w dyskusję, w jej trakcie nabierałem wrażenia, że przypominam człowieka, który z głupoty wybił dziurę w zaporze na rzece.

Gdyby los nie postawił na mojej drodze Saturnina, nie uwierzyłbym, że występuje jeszcze trzeci rodzaj ludzi: ludzkie białe kruki. Mam na myśli osoby, które wizja świszczących w powietrzu pączków pociąga tak bardzo, że podnoszą się z miejsca i ją urzeczywistniają.

Do takich jednostek doktor Vlach odnosi się z bezgraniczną estymą. Twierdzi, że podobny czyn wymaga nie tylko dobrze wykształconego poczucia humoru, lecz także odwagi, temperamentu i nie wiem czego tam jeszcze. Moim zdaniem wymaga on też bardzo dużej dozy szaleństwa i każde rozumne stworzenie musi się zdumieć, że takie osoby można spotkać poza zakładami stworzonymi przez

ludzką społeczność specjalnie dla nich. Niestety, sądzone mi było przekonać się na własnej skórze, że tacy ludzie naprawdę istnieją i że jak dotąd nikt w żaden sposób nie ograniczył ich wolności osobistej. Saturnin rzeczywiście jest bowiem właśnie kimś takim.

Kiedy spoglądam dziś za siebie na krótki okres swojej biografii, który przeżyłem całkiem niedawno, wielu rzeczom muszę się dziwić. Na przykład temu, jak dużo wydarzyło się w tym czasie. Moje życie było jak gdyby zagęszczone, wydarzenia następowały jedno po drugim, ledwie nadążałem z ich rejestrowaniem. Przypominałem człowieka, który schodząc z zaśnieżonego pagórka, natrafił na ukryty pod białym puchem gładki lód. Mam wrażenie, że w okresie, gdy sunąłem w dół jak po szkle, nie zachowywałem się zbyt nobliwie. Myślę, że fakt ten da się usprawiedliwić, i wątpię, by ktokolwiek chciał mi to wyrzucać. Twierdzić, że wystarczyło wtedy w dowolnej chwili zejść z lodowej ścieżki na bok, mógłby jedynie człowiek, który nie ma pojęcia, co to znaczy rozpaczliwie walczyć o utrzymanie choćby jakiej takiej równowagi. Zresztą, szczerze mówiąc, nie mogę wcale tego uznać za bardzo nieprzyjemne, sądzę wręcz, że gra warta była świeczki. Dawno wprawdzie wyrosłem z chłopięcych marzeń o przygodach, lubię życie spokojne i zdecydowany jestem stąpać twardo po ziemi, ale uważam, że spadający nagle na głowę deszcz niezwykłych wydarzeń nikomu nie zaszkodzi. W deszczu nikt się jeszcze nie utopił, poza tym o nieprzyjemnych rzeczach człowiek szybko zapomina. Niespodziewany zjazd na złamanie karku w śnieżnej zawiei z perspektywy czasu wydaje się całkiem interesującą przygodą.

Ja, człowiek stosunkowo młody i nieżonaty, zatrudniłem służącego; zapewne nie było to rzeczą rozsądną. Taki pomysł wydaje się wręcz ekstrawagancki, rzekłbym:

literacki, powieściowy. Bez wątpienia nie znalazłoby się w Czechach wielu młodych mężczyzn mających swoich służących. Wspomnienie tak nierozważnego czynu jest dla mnie, człowieka o charakterze łagodnym i konserwatywnym, dość zawstydzające.

Saturnin dał ogłoszenie do gazet, szukał posady służącego, warunki jego zatrudnienia były dla mnie możliwe do przyjęcia. Do tego miał znakomite rekomendacje. Jego wygląd i nienaganne maniery bardzo przypadły mi do gustu. Później się dowiedziałem, że odebrał systematyczne i bynajmniej nie powierzchowne wykształcenie. Jego imię, dość niezwykłe, zdawało mi się z czymś mętnie kojarzyć, ale nie wiedziałem z czym, i dopiero niedawno odkryłem, w jakich powiązaniach uwięzło mi w pamięci. Dostał mi się do rąk numer gazety mniej więcej sprzed dwu lat, w której natrafiłem na artykuł o próbie kradzieży w willi profesora Ludy, i przypomniałem sobie, że wówczas rozmawiałem z kimś o tym zdarzeniu w kawiarni. Saturnin stał się bohaterem dnia, chociaż poważniejsi czytelnicy kręcili głową nad jego postępowaniem. Mam zresztą tutaj wycinek z gazety:

Frapujący incydent ze złodziejem. W niedzielę 6 sierpnia po północy do willi prof. Ludy, historyka i kolekcjonera, wkradł się włamywacz i próbował otworzyć kasę pancerną, w której prof. Luda trzyma cenne wyroby dawnej sztuki złotniczej. Zanim udało się złodziejowi dostać do sejfu, przeszkodził mu jeden z pracowników zatrudnionych w domu profesora, p. Saturnin. Co wydarzyło się między tymi osobami, jest przedmiotem śledztwa. Kiedy policja, wezwana telefonicznie, dotarła na miejsce przestępstwa, znalazła złodzieja całkowicie nieprzytomnego, miał rozległą ranę szarpaną na głowie. Wypowiedź p. Saturnina była dość niezwykła. Twierdził on, że złodziej zranił się sam – średniowiecznym

cepem z kolekcji broni prof. Ludy. Pan Saturnin nadal uparcie trzyma się tego twierdzenia. Włamywacz odzyskał w szpitalu przytomność, ale utrzymuje, że zapomniał, jak się nazywa. Wstępne śledztwo zdaje się wskazywać na następujący przebieg wypadków: zaskoczony złodziej próbował przestraszyć p. Saturnina nabitym ostrą amunicją rewolwerem. Pan Saturnin wytrącił mu broń z ręki i wyrzucił przez okno do ogrodu, gdzie później ją znaleziono. Uczyniwszy to, zwrócił się do włamywacza z dłuższą przemową, w której tłumaczył przestępcy, że walka dwóch w różny sposób uzbrojonych mężczyzn nie jest fair. Zmusił go, żeby wziął ze ściany coś, co ten opisuje jako pręt z kulą i łańcuchem, sam wziął identyczny przedmiot. Po załatwieniu jakichś niejasnych formalności zaczęła się walka, w której złodziej odniósł ranę. Co ciekawe, włamywacz bynajmniej nie wyklucza, że zranił się w głowę sam. Mówi, że trudno było posługiwać się tym przyrządem i że kilka razy ledwo uchylił się przed rozwirowaną kulą swojej własnej broni. Poza tym podobno podczas całego starcia okropnie się bał, że rozbije żyrandol. Ogólnie cieszy się, że skończyło się, jak się skończyło. Gdy śledztwo dobiegnie kresu, nie omieszkamy przekazać czytelnikom naszej gazety szczegółowej informacji o jego rezultatach.

Mówiłem już, że z doktorem Vlachem nie da się dyskutować. Nie tylko spuści na rozmówcę lawinę grubiańskich słów, ale jeszcze zwykle wykona jakieś myślowe salto i wygłosi płomienną filipikę przeciw czemuś, o czym człowiek wcale nie zamierzał mówić. Ta okoliczność zapewne wpłynie negatywnie na spójność mojej opowieści, ale nic na to nie poradzę. Nieoczekiwany charakter wypowiedzi doktora Vlacha niekiedy będzie miał zapewne taki skutek, że rozdział, który zaczął się jako rozprawa o kryminalistyce, zakończy się wprawdzie też jako rozprawa o kryminalistyce, ale poza tym będzie się w nim stale

mówiło o łowieniu pstrągów. Doktor Vlach już taki jest, a pięćdziesięciolatka trudno zmienić.

Kiedy spytałem go, co zdrowy na umyśle człowiek ma sądzić o opisanym w tym wycinku wydarzeniu, odpowiedział, że trudno powiedzieć, bo dzisiaj nikt już nie jest zdrowy na umyśle. Oznajmił, że wprzęgliśmy wszyscy mózg w służbę naszych wąsko wyspecjalizowanych profesji i ze wszystkich sił staramy się, żeby nieprzydatne do tego części owego organu jak najszybciej obumarły. Kiedy tylko to się dokona, zauważą nas nasi zwierzchnicy i zaczniemy robić karierę.

– To niesamowite – stwierdził – do jakich prostych, wręcz trywialnie nieskomplikowanych rozważań niezdolne są już umysły większości ludzi.

Doktor Vlach rozprawiał jeszcze przez godzinę i kwadrans, a ja już dobrze nie pamiętam o czym. Na koniec bardzo przychylnie wypowiedział się o Pitagorasie. Nie wchodziłem z doktorem w polemikę, ale co się tyczy przekonania, jakoby nikt już dziś nie był zdrowy na umyśle, uważam, że powinien on mówić wyłącznie za siebie.

II

Stary spokojny dom
Z zasady nie używam przysłów
Ekscentryzm Saturnina
Mieszkamy na barce
Zgadzam się złapać Marka Aureliusza
Żaden mężczyzna nie zniesie, by wątpiono w jego odwagę

Chciałbym, żebyście państwo wyobrazili sobie, jak spokojny żywot wiodłem, zanim Saturnin został moim sługą. Zajmowałem nieduże mieszkanie w jednej z tych mieszczańskich kamienic, których szczególny czar zawsze silnie na mnie oddziaływał. Byłem ze swojego lokum bardzo zadowolony. Atmosfera tych domów z fasadami pełnymi sztukaterii, wytartymi kamiennymi schodami, intymnym półmrokiem w korytarzach i wysokimi obitymi drzwiami jest mojej duszy znacznie bliższa niż zuniformizowany wygląd nowoczesnych budynków. Czuję, że przytulności mieszkania sprzyja miły i uspokajający półmrok.

Doktor Vlach twierdzi, że są to uczucia odziedziczone po naszych przodkach, którzy żyli w jaskiniach. W ogóle w tym czasie wypowiadał się o moim domu bardzo nieprzychylnie. Nie rozumiał, jak mogę tam mieszkać. Mówił, że za każdym razem, kiedy wchodzi do tego budynku, serce mu się ściska na myśl o ludzkich tragediach. Że wszyscy, którzy tam w ciągu lat mieszkali, swoje szczęście wzięli ze sobą, ale ból, troski i rozpacz, wszystko to zostawili. Twierdził, że każde miejsce w tym domu jest przesiąknięte łzami wylewanymi przez ludzi w straszne noce, po których nie wstawał już dzień. Krótko mówiąc, doktor Vlach utrzymywał, że musiały się tam dziać rzeczy okropne i to wszystko kładzie się na nim przygniatającym brzemieniem, ilekroć przekracza próg owego budynku.

O ile wiem, nic naprawdę strasznego się tam nie zdarzyło, raz tylko przewróciło się rusztowanie, ale bynajmniej nie na doktora Vlacha, tylko na podwórze. Nikomu się zresztą nic nie stało, nie ma więc żadnego powodu do smutku. Na co doktor Vlach powiedział, że lepiej czuć brzemię smutku niż ciężar przewróconego rusztowania. Zawsze w ten sposób wymiguje się od poważnej dyskusji.

Mieszkałem więc w małym cichym lokalu z wypłowiałymi tapetami na ścianach i obrazami w szerokich staroświeckich ramach. Zegar z kolumienkami i kurantami odmierzał godziny spokojnych wieczorów, które spędzałem w dużym uchatym fotelu.

Tak, siedzę czasem w domu, i to dość często, zwłaszcza jeśli jest brzydka pogoda. W ciemne noce jesienne, kiedy niebiosa leją na ziemię strumienie deszczu, zimny wiatr rwie liście z drzew, wicher wyje wokół wież starych zamków, a to wycie miesza się z krzykiem spłoszonych wron, kiedy samotni jeźdźcy cwałują po błotnistych drogach, dążąc do swoich wątpliwych celów, w takie właśnie noce długie godziny siedziałem przy piecu i czytałem Václava Beneša Třebízskiego. Potem kładłem się spać i we śnie słyszałem płacz ukochanej, trzask płonącego dachu i przysięgi pomsty, a rano zdumiewałem się, że praskimi ulicami jeżdżą tramwaje. Dziwiłem się też, że kawa, którą do śniadania przyniosła mi pani Suchanková, nie jest zatruta.

Owa pani Suchanková była starszą panią z czarnymi włosami rozdzielonymi przedziałkiem, która troszczyła się o mnie iście po macierzyńsku. Niczego mi nie brakowało, nie mogłem się na nic skarżyć – i chyba właśnie to mnie złościło. Mówi o tym pewne przysłowie, ale ja przysłów ani porzekadeł z zasady nie używam. Mam do nich nieprzezwyciężony wstręt. Zrozumiecie dlaczego, kiedy poznacie ciotkę Kateřinę.

I oto pewnego dnia w tym spokojnym otoczeniu znalazł się Saturnin, który uważał, że jego obowiązkiem jest uczynić moje życie tak burzliwym, jak się tylko da. Sami się przekonacie, że mu się to świetnie udało.

Nie chciałbym być źle zrozumiany, nie twierdzę bynajmniej, że Saturnin nie był dobrym sługą. Miał wszystkie zalety, które ktoś taki powinien mieć. Przystojny blondyn, uczciwy, rzetelny i bardzo inteligentny. Zawsze miałem wrażenie, że mógłby być wcale nie służącym, tylko dyrektorem jakiegoś międzynarodowego koncernu. Ma się rozumieć, nie byłby wtedy w stanie zmieniać pracodawców równie łatwo, jak zmieniał ich, będąc służącym.

Kiedy zaprezentował mi swoje dokumenty, musiałem skonstatować, że brakuje świadectwa z ostatniego miejsca zatrudnienia. Dlaczego nie mógł go mieć, dowiedziałem się później. Porzucił swoją pracę po zupełnie absurdalnym wyskoku. Opanował go mianowicie jakiś rodzaj furii, w chwili kiedy uznał, że nie może dalej znosić postępowania swojej pracodawczyni. W szaleństwie, które – jak mam powody sądzić – udawał, uszkodził w niewybaczalny sposób meble w mieszkaniu chlebodawczyni, a ją samą, niebywale tym zdziwioną, wrzucił w parku zamkowym do fontanny. Dopiero potem się uspokoił. Nie wymienię nazwiska damy, o którą chodziło, aczkolwiek znam ją bardzo dobrze, ale chcę nadmienić, że moje doświadczenia w pewnej mierze tłumaczą, a może nawet usprawiedliwiają zachowanie Saturnina. Chodzi mi o to, że znam wiele osób, które również wrzuciłyby ją do tej fontanny. Nikt jednak nie zamknąłby tej sceny w taki sposób, jak zrobił to Saturnin. Kiedy rzeczona dama wynurzyła się z wody i wbiła w sprawcę zdziwione spojrzenie, Saturnin sztywno się ukłonił i oznajmił, że podano do stołu. Po czym oddalił się, żeby spakować swoje rzeczy.

Dopiero znacznie później przyszło mi do głowy, że stwarzanie takich absurdalnych sytuacji jest jego namiętnością. Nie chcę przez to powiedzieć, że pozwoliłby sobie na coś podobnego w stosunku do mnie. Po pierwsze, moja cielesna budowa przekonuje go, że cała sprawa mogłaby nie zakończyć się w przewidywany przezeń sposób, po drugie, powstrzymuje go moja wrodzona godność. Mimo to, od momentu kiedy został moim służącym, nigdy nie wiedziałem, czy nie będę zaraz musiał starać się zapanować nad sytuacją wręcz niebywałą, niesamowitą i z reguły bardzo nieprzyjemną.

Zaczęło się od tego, że kiedy rozmawiał o mnie z panią Suchankovą, obdarzał mnie najróżniejszymi tytułami, jak sir, jego miłość, sahib, jego błagorodije, zależnie od tego, co akurat czytał. Potem naznosił mi do mieszkania mnóstwo trofeów łowieckich, rogi bawołu, kły słonia, różne futra itp. Później się okazało, że pożyczał te rzeczy od rekwizytora naszego głównego teatru. Kiedy nie było mnie w domu, jak się zdaje, opowiadał moim przyjaciołom rozmaite zmyślone historyjki myśliwskie. Tylko tak mogę sobie wytłumaczyć fakt, że kilka znajomych dam zaskoczyło mnie w kawiarni prośbą o opowiedzenie im, jak zabiłem rekina statywem aparatu fotograficznego. Naturalnie zaprzeczyłem, bym miał kiedykolwiek czegoś takiego dokonać, i od tego czasu cieszę się opinią nazbyt skromnego bohatera.

Na próżno zastanawiałem się, po co Saturnin to robi. Początkowo sądziłem, że powoduje nim chorobliwe pragnienie bycia sługą jakiegoś dżentelmena–awanturnika i że z braku lepszego kandydata otacza nimbem bohaterstwa mnie. Potem doszedłem do przekonania, że go to po prostu bawi.

W ogóle miał poczucie humoru trudne do przyjęcia. Pewnego razu opowiadał mi o dowcipach, które podobno

nazywa się kanadyjskimi. Jeśli dobrze go zrozumiałem, pointa owych żartów polega na tym, że pali się jakiś dom albo ktoś jest ciężko ranny. Nie mogę powiedzieć, żeby mi się to szczególnie podobało.

Chyba mniej więcej po pół roku Saturnin zaczął dawać do zrozumienia, że mieszkanie, z którego do tego czasu byliśmy w pełni zadowoleni, jest za małe. Ogólnie rzecz biorąc, była to prawda. Przedtem całkowicie wystarczało, jeśli jednak ktoś z was widział bawole rogi… ale trzeba by długo opowiadać. Rzecz jasna, doktor Vlach popierał Saturnina. Mówił, że dawno już powinienem był się z tego domu wyprowadzić, wspominał coś o moim słabym zdrowiu i panującej w mieszkaniu wilgoci. Nie było w tym ani źdźbła prawdy. Dawniej w mieszkaniu jakoś wilgoć bynajmniej nie panowała, a co się tyczy mojego zdrowia, to doktor Vlach nic o nim nie wie. Ostatni raz badał mnie, kiedy chorowałem na odrę; miałem wtedy chyba dziesięć lat.

Skończyło się to wszystko tym, że Saturnin odnalazł mnie pewnego popołudnia w kręgu znajomych i dyskretnie oznajmił, że się przeprowadziliśmy. Dodał, że mieszkamy teraz na wodzie w pobliżu mostu łańcuchowego.

Zapewne byłby zadowolony, gdybym padł bez zmysłów. Ja jednak zachowałem całkowity spokój i wróciłem do gry w karty. Dopiero wieczorem, po wypiciu kilku kieliszków koniaku, poszedłem rzucić okiem na stare mieszkanie. Było oczywiście puste, a oczy pani Suchankovej błyszczały od łez. Sposób, w jaki rozmawiał ze mną właściciel domu, podpowiedział mi, że nie powinienem się nazbyt interesować szczegółami opróżnienia mieszkania. Potem poszedłem w stronę mostu łańcuchowego. Było to wprawdzie idiotyczne, ale gdzieś pójść musiałem. Saturnin stał na nabrzeżu, miał marynarską czapkę i zwracał się do mnie: kapitanie.

Od tego czasu rezydowaliśmy na barce mieszkalnej i nie mogę powiedzieć, by było nam tam niedobrze. Co prawda, już w pierwszym tygodniu którejś nocy obluzowała się kotwica i barka spłynęła z nurtem. Była to nieprzyjemna przygoda, panowała bowiem nieprzenikniona ciemność i w pierwszej chwili nabrałem przekonania, że Saturnin się utopił, bo na próżno wszędzie go szukałem. Później się okazało, że spał w bocianim gnieździe. Ale, jak mówię, gdyby nie to przykre wydarzenie, nie mógłbym się na nowe mieszkanie skarżyć. Trzeba w życiu pogodzić się z niejednym.

Nie chcę przez to powiedzieć, że zdałem się na łaskę i niełaskę Saturnina i jego pomysłów. Nie mogłem tego uczynić choćby z tego powodu, że zależało mi na dobrej opinii, której jego szaleństwa nie sprzyjały. Zaczęto mnie uważać za człowieka niesamowicie odważnego i mocno ekscentrycznego. Kogoś na modłę Harry'ego Piela. Pewnego razu w gazecie pojawiła się wzmianka o zamieszkiwanej przez nas barce. Zostałem przy tej okazji nazwany „naszym znanym sportowcem". Następnego dnia przypadkiem słyszałem rozmowę Saturnina z dostawcą paliwa. Saturnin skarżył się, że nie nazwano mnie tam „łowcą drapieżców", chociaż specjalnie zwracał na to uwagę redaktorowi.

Ta stale rosnąca niezasłużona, a mnie osobiście bardzo niemiła sława człowieka wyjątkowego miała mocno nieprzyjemne rezultaty. Na przykład pewnej nocy obudził mnie mężczyzna w czapce mundurowej i wyjaśnił, że pilnie potrzebna jest moja pomoc. Używając sporych zasobów logiki kombinacyjnej, zrozumiałem z bezładnej opowieści mężczyzny, że jakiś pacjent, uważający się za Marka Aureliusza, uciekł z zakładu dla umysłowo chorych. Jego kierownictwo uważa, że dla człowieka o moich zdolnościach fraszką będzie złapanie owego pana.

Niełatwo jest odmówić osobom mającym o człowieku pochlebną opinię. Szybko wstałem, ubrałem się. Mężczyzna w czapce mundurowej przekazał mi, żebym był tak łaskaw i wziął ze sobą strzelbę. Nie mam strzelby, więc nie potwierdziłem, że to zrobię. Powiedziałem za to, że nie będę jej potrzebować, a mężczyzna w czapce mundurowej spojrzał na mnie z wyrazem niekłamanego podziwu na twarzy.

Wydałem Saturninowi polecenia na wypadek, gdybym nie wrócił, i wyszedłem z mężczyzną w czapce mundurowej na ulicę; była deszczowa noc. Dopiero rozmowa, którą prowadziliśmy po drodze, wyjaśniła, że mężczyzna jest pracownikiem ogrodu zoologicznego, a Marek Aureliusz to lew.

Jestem niewątpliwie przynajmniej przeciętnie odważnym człowiekiem, ale możecie sobie wyobrazić, jak się czułem. Niechętnie to sobie przypominam. Ostatecznie wszystko dobrze się skończyło, gdyż pracownikom zoo udało się złapać lwa, kiedy zasnął zmęczony bezskutecznymi atakami na tramwaj linii numer piętnaście. Moja interwencja okazała się zbędna, ale i tak dyrektor ogrodu serdecznymi słowami pochwalił gotowość do pomocy zagrożonej niebezpieczeństwem ludności Pragi i wyraził przepełnione radością przekonanie, że zapewne w przyszłości będzie mi dane złapać któregoś z drapieżców własnymi rękami za uszy. Pewnie myślał, że tego nie wiadomo jak bardzo pragnę.

Następnego dnia w gazetach pojawiła się wzmianka o tym, że z niezwykłym entuzjazmem wziąłem udział w polowaniu na biedaka Marka Aureliusza. Była to woda na młyn Saturnina, nietrudno się domyślić.

Kiedy rozmawiałem o tym wydarzeniu z doktorem Vlachem, ten przedstawił zaskakującą opinię, którą mnie omal obraził. Powiedział mianowicie, że jak widać,

legenda, którą otoczył mnie Saturnin, bardzo mi odpowiada. Jak twierdził, inaczej nie jest w stanie wytłumaczyć sobie mojej gotowości do udania się w nocy do Troi na polowanie na lwy.

Zawsze uważałem, że z umiejętnością oceniania ludzkich charakterów człowiek musi się urodzić. Nie da się jej zdobyć ani w miarę upływu lat, ani wraz z rosnącym doświadczeniem. Widać to na przykładzie doktora Vlacha. Jak w ogóle mogło mu coś takiego przyjść do głowy?! Za jak zwariowaną i próżną osobę mnie uważa?! Gdybym pragnął opinii awanturnika, potrafiłbym ją zdobyć sam, nie oczekiwałbym, że zdobędzie ją dla mnie mój sługa. Trzeba tu koniecznie zauważyć, że znalazłem się w sytuacji, w której musiałem wybierać między miłością do prawdy z jednej strony i naturalnym poczuciem dumy z drugiej.

Jeśli ktoś jest normalnym, trzeźwo rozumującym obywatelem, jego przyjaciele i znajomi nie mają powodu zastanawiać się, jak by się zachował, gdyby zaatakował go rozwścieczony bawół. Przedstawcie sobie państwo ludzi ze swojego otoczenia w takiej sytuacji, okaże się, jak bardzo jest to pozbawione sensu. A teraz proszę zważyć, że przez fantazje Saturnina moi przyjaciele byli wprost prowokowani do takich rozmyślań. Moją odwagę osobistą poddawano myślowym eksperymentom, stałem się królikiem doświadczalnym.

Ja oczywiście nigdy nie opowiadałem tych bzdur o rekinie i statywie aparatu fotograficznego, ale proszę sobie wyobrazić swoje samopoczucie, gdyby najpiękniejsze dziewczęce usta, jakie się kiedykolwiek widziało, leciutko się wygięły i utworzyły zarys kpiącej minki, a potem powiedziały: „Pan i rekin?". Niektóre decyzje, rozumie się, podejmowałem powodowany nadzieją, że kiedyś będę mógł powiedzieć: „Tak, panno Barboro, ja i rekin, ja i lew, ja i jakiekolwiek niebezpieczeństwo na świecie".

III

Panna Barbora
Przegrywam w trzech setach mecz tenisowy
Saturnin stawia ściankę treningową
Niezwykła umowa z właścicielem barki
Doktor Vlach rozprawia o upadku rzemiosł

Pannę Barborę Terebovą poznałem na korcie tenisowym. Była gwiazdą podmiejskiego klubu, do którego należę. Widywałem ją, piękną i niedostępną, kiedy zaczynała treningową grę z nauczycielem tenisa albo którymś ze znakomitych zawodników. Za to, że nasza znajomość przekroczyła granicę moich uprzejmych „dzień dobry" i jej uprzejmych, ale chłodnych odpowiedzi, mogę podziękować Pepíkowi. Proszę mi pozwolić przedstawić tego Pepíka. Jest częścią klubowego inwentarza, ma dwanaście lat, zbiera i podaje piłki, przynosi odłożone rakiety, pali papierosy i wagaruje. Mimo że jest taki młody, cieszy się opinią znawcy piękna kobiecych nóg, których kształty uważnie obserwuje, wykonując swoją pracę. Jeśli chodzi o sądy na ten temat, jest absolutnie bezkompromisowy i powszechnie wiadomo, że właścicielką jedynych nóg, które zdały egzamin przed jego spojrzeniem, jest właśnie panna Barbora.

Członkowie klubu płci męskiej śmiali się do rozpuku, kiedy w ich kręgu Pepík przedstawiał swoje mniemania w tej kwestii. Ja uważałem te igraszki za wyjątkowo niesmaczne. Nawet jeśli Pepíka usprawiedliwia bardzo młody wiek, pozostaje rzeczą bezsporną, że dobrze wychowany mężczyzna nie gapi się na nogi dam, choćby pojawiła się ku temu okazja.

Pół godziny przed chwilą, kiedy zostałem pannie Barborze przedstawiony, taką właśnie okazję miałem.

Siedziałem na leżaku przed budynkiem klubu, a panna Barbora stała na umieszczonej na wysokości pierwszego piętra werandzie i patrzyła na zegarek. Do mojego leżaka przymocowany był chroniący przed słońcem daszek, który zasłaniał mi pannę Barborę od pasa w górę, toteż mógłbym spokojnie oglądać jej nogi bez obawy, że zostanę przyłapany na całkowitym braku taktu. Nie mogłem się powstrzymać od myśli, że niektórzy członkowie klubu byliby wdzięczni za taką sposobność. Jak rozkoszowaliby się widokiem tych pięknie ukształtowanych, opalonych nóg o szczupłych kostkach, smukłych goleniach, obłych łydkach, krągłych dziewczęcych kolanach i pełnych, doprowadzonych do doskonałości sportowym trybem życia udach, na których słońce nakreśliło przyśpieszającą tętno granicę beżowego i różowego koloru w miejscu, gdzie nogi znikały w oślepiająco białych szortach. Przyjrzeliby się także małej bliźnie na lewym kolanie i domyślili się, że to pamiątka po zeszłorocznej kontuzji na nartach. Jak mówię, byliby za taką okazję bardzo wdzięczni i nie przyszłoby im do głowy czytać dalej gazety, co uczyniłem ja.

Panna Barbora nie doczekała się trenera i wydawało się, że jest tym faktem zirytowana. Spytała o coś Pepíka, ten wzruszył ramionami i wyciągnął rękę w moim kierunku. Potem przyszedł spytać, czy nie chciałbym z panną Barborą zagrać. Odpowiedziałem, że z prawdziwą przyjemnością, ale on przekazał to pannie Barborze, spojrzawszy w kierunku werandy i wyrzuciwszy z siebie: „Tak!".

Panna Barbora uśmiechnęła się do mnie, a ja coś wam powiem. Ma piękne nogi, owszem, ale piękne nogi ma wiele kobiet, jednakże takich cudownych ust jeszcze nie widziałem. Chociaż znałem ją już dość długo, nie byłem pewny, jakie ma oczy, ponieważ zawsze w jej obecności patrzyłem na te usta.

Zagrałem z nią trzy sety i wszystkie przegrałem. Nie było to dla mnie przyjemne, ale pocieszałem się, że przypisze to mojej galanterii. Ona jednak, o dziwo, wcale nie uważała tego za stosowne i po meczu powiedziała, że jeszcze nie widziała nikogo, kto by tak niemiłosiernie walił w piłkę, grając forhendem. Jeszcze gorzej wypowiedziała się o moim serwisie. Oznajmiła, że serwuję jak stara baba. Nie lubię, kiedy młoda dama używa podobnego języka. Niech nikt jednak nie myśli, że jestem obrońcą uprzejmych frazesów i kłamstw i że wolałbym po meczu, w którym wyszedłem na kiepskiego tenisistę, usłyszeć od panny Barbory coś w rodzaju: „Och, gra pan fantastycznie! Już dawno nie grało mi się tak dobrze. Lubi pan tenis?".

Nie, nie życzyłbym sobie niczego takiego, ale przecież nie ma powodu używać zwrotów w stylu: „Serwuje pan jak stara baba". Lubię, kiedy ludzie są szczerzy, nie znaczy to jednak, że mają mówić w taki sposób. Wszystko można powiedzieć wykwintnym językiem dobrego towarzystwa. Jak kiedyś czytałem, dyplomata nigdy nie powie, że ktoś kłamie. Użyje w takim wypadku sformułowania: „Sądzę, że istnieją powody, by wątpić w wiarygodność pańskich informacji". Proszę bardzo!

Nie wiem, jak Saturnin dowiedział się, że nie byłem równorzędnym przeciwnikiem dla panny Barbory. Robił miny człowieka zdruzgotanego, chyba go to naprawdę dotknęło. Przez cały następny dzień stawiał na pokładzie naszej barki jakiś osobliwy płot, a ja nie miałem odwagi spytać, co to będzie. Wieczorem namalował na płocie pas na wysokości tenisowej siatki i oznajmił, że to ścianka treningowa i że radzi mi, żebym przy niej codziennie ćwiczył uderzenia, zwłaszcza forhend. Potem zademonstrował mi kilka drajwów, tak mocnych, że ścianka by chyba nie wytrzymała zbyt wielu podobnych. Spytałem, gdzie się

tego nauczył, a on odparł, że dość długo był tenisowym trenerem w Nicei.

Pomyślałem, że wcale bym się nie zdziwił, gdybym się dowiedział, że grał w Pucharze Davisa. Tego dnia trenowałem zgodnie z jego wskazówkami przez jakieś pół godziny i przekonałem się, że ściankę i boczne barierki postawił bardzo pomysłowo, tak że naprawdę niewiele piłek wpadało do Wełtawy.

Tak więc do różnych zmian, poprawek i dodatków na barce, będących dziełem Saturnina, doszła jeszcze ścianka treningowa. Wolałem nie myśleć, co na to powie właściciel.

Saturnin bowiem od początku postępował tak, jakby to była nasza barka. Przyglądałem się temu ze znacznymi obawami, ponieważ sądziłem, że właściciel nie zaakceptuje udoskonaleń, których dokonaliśmy. Jakoś nie mogłem sobie wyobrazić, że przyjmie je z entuzjazmem. Do tej pory jednak nie miałem pojęcia, jakie stanowisko zajmuje w stosunku do samowolnych poczynań Saturnina. Osobiście się z właścicielem jeszcze nie spotkałem i takiego spotkania nie pragnąłem. Saturnin, który tę barkę mieszkalną wynajął, opisał mi go jako małego człowieczka o potężnej tuszy.

Powiedziałem, że Saturnin wynajął barkę, ale nie należy sądzić, że uczynił to w zwyczajny sposób, czyli że wynegocjował wysokość czynszu, termin wymówienia i podpisał umowę najmu czy coś w tym guście. W taki zwyczajny i nieromantyczny sposób Saturnin postępować nie może. Powiedział mi wtedy, że barkę wypożyczono nam na lat pięćdziesiąt za darmo. Oznajmił rzekomo właścicielowi, że zamierzamy przedsięwziąć wyprawę polarną i że nigdzie w bliższej i dalszej okolicy nie ma odpowiedniejszej do tego celu jednostki pływającej niż jego barka. Że jest to dla niego, to znaczy dla tego właściciela, wielki honor,

gdyż pewnie kiedyś jego łódź będzie równie sławna jak Fram, i podobne nonsensy.

Właściciel był gotów na wszystko to przystać, pod warunkiem że nazwiemy barkę Lili, Fifi czy jakoś podobnie – już nie pamiętam, ale ta nazwa była straszna – i że jakiejś odkrytej przez nas krainie nadamy z kolei jego imię. Saturnin mu to obiecał, ale zapomniał go spytać o godność. Nie pamiętał też, że ma to zrobić, także wtedy, gdy właściciel go odszukał i oznajmił, że się z tą panną rozstał i teraz życzy sobie, żeby barka nazywała się Kleo.

Nie wiem, skąd ludzie biorą takie nazwy, świadczące tylko o złym guście. Jakby nie było wystarczająco wielu naprawdę pięknych imion kobiecych. Nieustannie przychodziło mi do głowy, że gdybym nauczył się porządnego serwisu i forhendu, nie byłoby powodu, dla którego nie moglibyśmy nazwać łodzi Barbora.

Wieczorem odwiedził nas doktor Vlach. Obejrzał wytwory rąk Saturnina i skorzystał z okazji, by wygłosić sążnistą mowę o upadku rzemiosł.

Pamiętam jak dzisiaj, że siedzieliśmy na pokładzie na drewnianych krzesełkach, a doktor Vlach perorował. Zapadał ciepły zmierzch, na niebie pojawiały się pierwsze gwiazdy, a nam towarzyszyła mieszanina dźwięków, składająca się z szumu miasta, oddalonego buczenia klaksonów, dzwonków tramwajów i cichego plusku rzeki.

Jeśli w przemowach doktora Vlacha nie ma akurat żadnych wycieczek osobistych, da się ich słuchać całkiem przyjemnie. Doktor opowiada bardzo żywo, potrafi naśladować manierę mówienia wielu osób, a przy tym w sposób tak nieudawany się irytuje, że jest to zabawne. Ściemniało się coraz bardziej, w przerwach między poszczególnymi cząstkami perory od czasu do czasu rozbłyskał ogienek papierosa doktora.

– Były takie czasy – mówił – kiedy człowiek robiący buty nazywał siebie szewcem. I nie tylko tak się określał, ale jeszcze miał to słowo na swoim szyldzie, na którym obok obrazka przedstawiającego parę wysokich sznurowanych butów damskich było napisane na przykład: „Alois Krátký, mistrz szewski". I ten pan Krátký, mistrz szewski, siadywał wieczorem w gospodzie przy piwie i zwykł mówić: „Panie kochaniutki, kiedy ja panu uszyję nowe buty, możesz pan iść w nich na piechotę z pielgrzymką na Świętą Górę i z powrotem, wszystko tego samego dnia, a jak pan wrócisz, nie będziesz pan leniem i przyjdziesz mi podziękować, nawet gdyby była już dziesiąta. Takie to ja buty szyję".

Jak panowie wiecie – ciągnął doktor Vlach – szewcy wymarli. Nie z powodu jakiejś epidemii wśród nich ani nie dlatego że nie wytrzymali konkurencji z fabryką Baty. Gorsza plaga nas nawiedziła. W następnym pokoleniu z jakiegoś całkiem niezrozumiałego powodu szewc zaczął się wstydzić tego, że jest szewcem, stolarz, że jest stolarzem, a ślusarz, że jest ślusarzem.

Syn mistrza Krátkiego siedzi w warsztacie na stołeczku ojca, w tej samej klitce co kiedyś on, ale napisane ma na szyldzie „Produkcja obuwia". Wiem – żołądkował się doktor – że gdyby jego tata wstał z grobu, własnoręcznie by ten szyld zdjął i powiedział synowi: „Więc ty się wstydzisz rzemiosła ojca? Ty jesteś jakaś produkcja obuwia? Nie, jesteś szewcem! Toż to jakiś koszmar. A ten Volek z naprzeciwka? To mi dopiero figura! Ma tam napisane «Fabryczny skład mebli». Więc on ma fabrykę?". Syn pobłażliwie tłumaczyłby, że Volek nie ma żadnej fabryki, to tylko taka reklama. „Reklama? – eksplodowałby starszy pan. – Dla mnie to nie reklama, dla mnie to blaga, nabieranie gości i niepotrzebne puszenie się. Reklama to dla mnie dobrze zrobione buty albo szafeczka taka, że mucha nie siada".